ROK IV. Krzemieniec, styczeń-luty 1929 r. № 5-6.




**Miesięcznik Młodzieży Liceum Krzemienieckiego**
wydawany przez Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera
Bratniej Pomocy Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

## Treść numeru:

# Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Biją dzwony, biją dzwony, a głos ich jęczący wije się między murami Liceum i ulatuje, roznoszac wieść żałosną. Z kościoła wysuwają się czarne chorągwie i rażąco odcinając się na tle wesołej bieli zimowej, kręcą się i wiją. Na chwilę przystanęły i znów ruszają dalej.

Za niemi pogrążona w głębokim smutku i żalu kroczy młodzież licealna. W końcu na barkach profesorów i uczniów Liceum podąża ś. p. dr. Antoni Majewski na miejsce wiecznego spoczynku, odprowadzony przez rodzinę, kolegów, wychowanków i życzliwych.

Odezwały się trąby orkiestry, lecz głos ich nie taki jak zwykle radosny, ale przepojony melodją, pełną smutku i żalu; oznajmia on, że dziś żegnamy nazawsze tę miłą postać, z którą zżyliśmy się tak bardzo i która wydawała się nam niedzowną cząstką Liceum. Zarówno młodzież starsza, jak i malcy znali go dobrze. Był on nietylko lekarzem, dbałym o zdrowie nasze, był przedewszystkiem wychowawcą. Kochał nas i jego dobre, tak bardzo czułe serce wzruszało się każdą naszą troską. Niejeden ze starszych miał w nim osobistego powiernika, przyjaciela i opiekuna. Jako prawdziwy wychowawca interesował się on każdym przejawem życia szkolnego.

W mojej pamięci zarysował się najwyraźniej nietylko dlatego, że we wszystkich niedomaganiach udzielał mi pomocy, ale głównie dlatego, że z nim zetknąłem się od pierwszej chwili znalezienia się na terenie Liceum. Pamiętam, gdy po zdaniu egzaminu wstępnego błąkałem się i gapiłem bezradnie na wieże kościoła, podchodzi do mnie niski, miły pan i zapytuje:

— Co tu robisz chłopcze?

— Nic, proszę pana—odpowiadam.

— A na badaniu, byłeś?
— Nie.

— No to chodź ze mną.

Nie wiem, skąd poznał, że jestem nowoupieczonym uczniem Liceum, dość, że zauważył moją bezradność i opuszczenie i zaopiekował się mną zaraz.

Nie będę wypowiadał pięknych i wzniosłych słów o Jego życiu i pracy,—to zrobili już starsi i mądrzejsi odemnie. Chcę tylko wyrazić nasz ogólny uczniowski żal po stracie dobrego naszego przyjaciela, który oto opuścił nas nazawsze.

.... Miarowym krokiem zbliżamy się do cmentarza, skąd wśród zimowej bieli wychylają się krzyże i otwarłszy swe ramiona, przygarniają do siebie wszystkich steranych życiem.

Jeszcze raz wzbiła się w niebiosa pieśń, oznajmiającą, że człowiek czynu opuścił padół ziemski, jeszcze raz zabrzmiały słowa pożegnania i trumna zniknęła w ciemnym otworze grobu.

...... Wracamy do Liceum bez Niego.

Al. Sałysz.

# STOSUNEK LICEUM DO OKOLICZNYCH WSI.

## (Wspomnienia z wakacyj)

Kilka lat już egzystuje Liceum Krzemienieckie, promieniując na kresach nietylko jako uczelnia, lecz także jako placówka kulturalna, której zadaniem jest szerzenie kultury polskiej wsród ludności miejscowej i uczynienie z tej ludności prawdziwych obywateli polskich.

Wskrzesiciel Liceum Krzemienieckiego, J. Piłsudski znał rolę Aten Wołyńskich i rzucił hasło powrotu do tej roli.

W początkach musiało Liceum przeżyć ciężkie chwile, jak i cała Polska je przeżyła, lecz stopniowo dzięki wysiłkom kierowników jego, wzrosło w dobrobyt. Wielu wychowanków jego zawdzięcza swe wykształcenie pomocy materjalnej Liceum, a pomoc ta sięga nawet do uczelni wyższych. Stosunek Liceum do wsi stał się naprawdę wartościowym od roku 1927, kiedy niestrudzony pracownik na polu polepszenia doli ludu Pan Wizytator Juljusz Poniatowski rozpoczął swą działalność na Wołyniu. Obecnie otoczenie Liceum Krzemienieckiego zrozumiało, że Liceum to nie placówka wyradzająca i wroga żywiołowi miejscowemu, lecz placówka która w pracy swej kulturalnej chce przyjść temu ludowi z pomocą i wspólnie z nim dążyć do stworzenia miłej harmonji i współpracy obywateli polskich z ukraińskimi w rozwoju ich wspólnej ojczyzny. W roku 1928, Liceum bierze czynny udział w organizowaniu „Kół Młodzieży Wiejskiej" na terenie powiatu krzemienieckiego, w celu podniesienia kultury rolnej. W związku z tem urządza wycieczki młodzieży wiejskiej do innych dzielnic Polski, wysyła młodzież do szkół rolniczych i t. p. (patrz artykuł „Sprawozdanie ze zjazdu K. M. W. w Liceum)"

Oprócz tego Liceum zaczyna wnikać w życie wewnętrzne wsi, interesuje się jej potrzebami inwestycyjno-kulturalnemi i w miarę możności przychodzi im z pomocą. W tym roku 15 czerwca byłem delegowany przez Pana Wizytatora J. Poniatowskiego do Nadleśnictwa Suraskiego gm. Szumskiej, w celu zbadania potrzeb

1) wieś Stara Huta otrzymała zapomogę na budowę domu Ludowego.

2) wieś Małe-Sadeczki otrzymała zapomogę na budowę szopy strażackiej, materjał na most, ogrodzenie mostu i studni, oraz 10 kręgów betonowych na wybudowanie nowej studni.

3) wieś Teremne otrzymała zapomogę na budowę szopy strażackiej.

4) wieś Suraż otrzymała zapomogę na budowę szopy strażackiej i narzędzia strażackie.

5) wieś Załuże otrzymała 20 kręgów na budowę nowych studni, materjał na 7 daszków do studzień na ogrodzenie i koryta do tyluż studzień.

6) miasteczko Szumsk otrzymało zapomogę na zakupienie dzwonów kościelnych.

7) wieś Obycz otrzymała zapomogę na budowę nowej szkoły.

8) wieś Noworyczych otrzymała zapomogę na budowę kościoła.

Wsie które zgłaszały się o pomoc w budowie szkół, a nie otrzymały jej z wyżej podanych przyczyn, otrzymają pomoc w roku przyszłym.

Józef Dikszteјn.

## ECHO MINIONYCH DNI.

Wojna. Grzmią armaty, świszczą kule, lecą ręce, nogi, głowy. Cary się kłócą.... Cały świat drży w posadach, puszcze płoną, pola zasiane, tratowane przez armje, każdy uszy nastawia, prędkoli bomba rzucona dach mu zapali.

Jeno niedaleko Krzemieńca, w zaciszu nad szarą smugą

Wilji, pod lasem miasteczko żyło w spokoju. Czasem tylko oddział zawitał wojska, czasem przenoszono szczątki niegdyś ludzi, dziś trochę stłuczonych kości z frontu, pozatem cisza, spokój.

To trwało niedługo. Rewolucja r. 1917! Marsyljanka! Swoboda! Precz z caratem!... Równość, wolność! Nareszcie. Jak mocno serce w piersiach biło, jakby przeczuwało, że na tem nie koniec. Przebrzmiały silne mowy „matrosów" (majtków), zbudził się lud uśpiony pod jarzmem caratu, jak fala rozkołysana brzegi wyparł i rozlał się szeroko po ciemnej równinie. Zbudzony lud, któremu jedynie wstać kazano, lecz nie wskazano drogi, którą ma się udać, szukał jej bądź w szeregach Budionowa, bądź u Petlury, bądź wreszcie w licznych bandach zbójeckich, które w miarę potrzeby uchodziły za „bolsze" albo „mieńszewików".

Ten ogień, który nagle strzelił wysoko w bizantyńskiej Rosji, dotychczas niepodzielnie carskiej musiał być krwią zgaszony. Podpaliła i rozdmuchała ten ogień wyższa warstwa społeczeństwa, a lud gasił. Gasił zaś po swojemu, gdyż go poprzednio nie wtajemniczano, nie nauczano. Szedł więc, jak idzie stado oślepionych pożarem bawołów, tratując wszystko po drodze za swoimi przewodnikami, wyrzutkami społeczeństwa, po większej części „matrosami" na dwory, miasta i Żydów.

Ta burza nie ominęła miasteczka Szumska; poznano tam co to kula i szabla, a przedewszystkiem zrozumiano, jakiem zwierzęciem jest człowiek ciemny. I niejedna rodzina po tej nawałnicy, gdy zaświeciło poraz pierwszy słoneczko z przybyciem armji polskiej, ujrzała się w mniejszej gromadce, promienie oświetliły niejedną mogiłę świeżą, ledwie trawą porosłą. Tu i ówdzie krzyże rzucone koło dróg i na polach świadczyły o pochodzie dziczy....

---

Już w objęciach Morfeusza całe miasto śpi, zgasły ognik w okienkach, psy ucichły w zagrodach. W mroku letniej nocy giną chatki, sady, otulone we mgle, rzekłbyś: pajęczyną misterną spowite w głęboki zapadły sen. Wtem na wschodzie, z za

sinego boru wychylił się blady, zmęczony świadek nocy; wypłynął na sklepienie i za ciemnemi obłoczkami wędrował. Chował się często za ciemniejsze chmurki, to znów za lekkim obłoczkiem jakby przez pogórki się przewalał, czasem zaś na szmat czysty się wydostawszy ciekawie spoglądał na ziemię. I widział miasteczko uśpione wśród pól szumiących, przez okna do chat zaglądał i widział nieruchome, martwe twarze bez wyrazu wypoczywające po całodziennej walce o byt, widział pijaków przy butli w suterenie i szulerów przy kartach; z niesmakiem odwrócił się i schował za chmurkę. Biedny księżyc. Ile zła widzi podczas długich nocy.

Wtem promień jego, wędrując między liśćmi w ogrodzie oświetlił bieluchną twarzyczkę dziewczyny i obok młodzieńca w mundurze uczniowskim. Wnet zniknął lecz za chwilę cała uśmiechnięta, dobra twarz księżyca wytoczyła się z za chmurki.

—Witajcie—zdawał się mówić—toż to starzy moi znajomi, jakżem rad, że was spotykam.—

Radował się stary i co wieczór przychodził ich pozdrowić, bo wiedział, że te dwie istoty są godne jego promieni. Po nich wspinały się ich duszyczki jasne, pełne wzniosłych uczuć i złączone unosiły się ponad wierzchołkami starych drzew. Zdziwił się jednak, gdy zwykle wesołe twarzyczki znalazł zadumane i smutne. Usta ściągnięte i wyraz oczu zdawały się czegoś nie rozumieć!... Księżyc zorjentował się w sytuacji:

—Toż jutro koniec feryj świątecznych, powróci do szkoły....

—Szczęśliwej drogi—rzucił na pożegnanie i powędrował dalej. A oni jeszcze długo rozmawiali tej cichej, letniej nocy.

* *
*

Wąską, polną drogą, pomiędzy łanami zbóż dojrzewających, toczył się wóz, podnosząc tumany kurzawy.

Pan Stanisław wracał do szkoły. Rozglądał się dokoła, jakby chciał całą naturę połknąć. Śmiał się do figlarnych bławatków, które mrugały nań z żyta i do maków przy drodze, słuchał

świergotu ptactwa polnego, napawał się zdrowym aromatem pól, wtórował koncertowi owadów i bawił się promieniem, który mu tęczą usiadł na rzęsach. Kochał w tej chwili cały świat. Jego uczucia harmonizowały z przyrodą piękną i niepojętą. Myślami ścigał fale kołyszącego się łanu i z niemi uciekał hen w dal....

Tam zaś za polem stała Przyszłość i figlarnie się doń uśmiechała.

— O, powiedz mi—prosił—powiedz, czy się spełnią moje marzenia, czy swą nutkę do śpiewu mego przyłączysz?—modlił się do niej i naprzełaj przez pole ją ścigał.

A ona w uśmiechu cudownym ukazała dwa rzędy perełek i uniosła się w siną dal....

* *
*

O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju! Pamiętny r. 1917—1918, brzemienny w mordy i okrucieństwa ... Klasyczna ochłokracja! Miasteczko Szumsk co kilka godzin przechodziło z „własti wo właśt'“ (z rąk do rąk). Petlurowcy zsiedli z koni i ledwie zaczęli gospodarzyć, zarąbawszy kilku starców i roztrzaskawszy kilkunastu dzieciom główki niewinne o ścianę, a już na kark im walą Budionowcy (bolszewicy).

Nanowo płać kontrybucję, nanowo ich niewinne „obyski“ czyli rewizje, podczas których się szuka karabinów, armat i czołgów w szufladkach i w kieszeniach obywateli. Jutro słynny oddział „Marusi“ gości w miasteczku i po swojemu gospodarzy. Lecz najgorsze to były rządy, a raczej bezrząd podczas nieobecności wojsk w mieście.

Wówczas chłopi z okolicznych wiosek, łącząc się w bandy dość liczne najeżdżali cywilną ludność. Pjane bestje wpadały, kiedy się ich najmniej spodziewano, w nocy po większej części i urządzały godne swego pryncypała Belzebuba igrzyska.

Zresztą poco pisać. Czyż słowa ludzkie zdolne są wyrazić te wszystkie okropności? Czyż dziś, można na papier przelać te męczarnie duszy i ciosy w nią wymierzone?...

— Na razstrieł!—(na rozstrzał) krzyczy tłuszcza i stawia ojca „pod stienku".

— Kontrrewolucjonistka—zawyrokował szubrawiec i szablą mierzy w matkę, siostrę....

Boże! Czyż to być kiedy mogło poza piekłem? Istoty na podobieństwo Twoje stworzone mogłyż tak postępować?

Mimowoli nasuwa się myśl, że to było powtórzeniem potopu, tylko że krew zastąpiła wodę. A może Pan Bóg chciał grzesznikom dać przedsmak piekła?....

* *
*

— Hurra! Hurra!—ryczą uzbrojeni w różną broń bandyci, którzy na kilku furmankach zajechali na rynek i wnet rozbiegli się na „obysk".

— Otwieraj—proszą, delikatnie pomagając sobie kolbami. Cisza. To rodzina zbudzona nagle zrywa się z łóżek i z wyrazem obłąkania w oczach spogląda na okna, w których szary mrok przedświtu panuje.

— Otwieraj—krzyczy tłuszcza coraz natarczywiej.

Członkowie rodziny ochłonąwszy z pierwszego przestrachu naciągają na się pośpiesznie odzież, ale z wyrazem obojętności i zmęczenia na wynędzniałych twarzach. Widać, że to już nie pierwszy raz budzą ich w nocy. Panienki wyłażą na strych, zabierają drabinę. Jeśli odkryją kryjówkę? To cóż, one w każdej chwili gotowe skoczyć z okna...

— Dzyń, bryz, bum—pada jednocześnie. To goście się niecierpliwią. Pęka szyba, kula rozbija lustro i jednocześnie aż podłoga zadrżała z głośnego wystrzału.

— Otwieraj, kontrrewolucjoner, burżuj, a to ubjom—pjanym, zachrypłym głosem. wołają z zewnątrz.

— Dzyń, bryz, dzyń..—coraz częściej strzelają. Ojciec idzie otwierać.

— A niegodiaj, burżuj—i na przywitanie pociągnął nahajką. Boże! Ja małe, słabe dziecko patrzyłem, jak ten szubrawiec katuje mego ojca....

— Ty oręż chowasz. dawaj orużije, gdzie schowałeś?—

W butach armat nie było, lecz bądź co bądź, nie chcąc zostawić możliwych kryjówek, ściągnęli je z nóg; tak samo zegarki, pieniądze i. t. p. przedmioty okazały się orężem....

* * *

Po ulicach miasta co koń wyskoczy pędzi „razwiedka“. Na bruku leży trup dziecka, które wracało ze szkoły, tam z rozpłataną czaszką milicjant, który nie zdążył się skryć. Grobowa cisza.... Tu przeszła „Krasnaja rozwiedka“—

Wkrótce rozpuszczono szkoły. Staś, któremu gospodyni wymówiła mieszkanie i wikt, gdy zabrakło hreczanych placków i sacharyny, z dwoma jeszcze kolegami postanowił wrócić do domu. W nocy jeszcze przyszli go budzić.

— Wstawajże, bo słońce wkrótce wschodzi—.

— Ha? Co?—Zerwał się i usiadł na łóżku, nieprzytomnie wodząc oczyma dokoła.

— Wstawaj, bo już czas—powtórzyli koledzy.

— Tak mi się spać chce... Nierozumiem, co to miało znaczyć.

— O czem mówisz?—zapytali.

— Przerwaliście mi sen. Zdało mi się, że idę przez równe pole, a tu nagle rów. Patrzę, a z drugiej strony Hela i mamusia. Ja do nich idę a one mi jakieś znaki dają, krzyczą.... Nie zrozumiałem. Chcę przez rów skoczyć, a tu gad ku mnie pełznie, a syczy bestja.... Tak jakoś straszno....

— Głupstwo sen, spiesz się, bo sami idziemy.—

Za chwilę wyruszyli. Opuścili miasto i bocznemi ścieżkami

kroczyli, nucąc wesołą piosenkę. Księżyc zbladł i gdzieś daleko rozpływał się w ciemnym szafirze, gwiazdy, jakby niewidzialną rączką pięknej dziewczyny ściągane perły z tasiemki, rozpływały się, bladły, znikały. Niebo na wschodzie zupełnie już jasne rozszerzało swój krąg świetlisty, coraz większe połacie biorąc pod swe panowanie. Jeszcze zachód był w cieniu pogrążony, a już na wschodzie z za horyzontu, kolorowe promienie zaczęły niby zwiastuny światła grać tęczą na snujących się po firmamencie obłoczkach. Zadrgało wszystko koło nich, zadrgało życiem i radością. Pod niebiosa wzbił się szary śpiewak i radośnie dzwonić począł, a za nim, co żyło tysiącem się głosów ozwało. Zwolna złączyły się śpiewy i zgodnie popłynęła pieśń potężna, dziękczynna....

* *
*

Zanurzyli się w las. Jaki błogi spokój i cisza, poprzez którą czułe ucho sto pieśni podsłucha!

Las śpiewał. Rozkołysana ta pieśń, przez największego kompozytora ułożona, falowała, przewalała się ponad wierzchołkami, przypadała do mchu zielonego i płynęła, płynęła.... Na tle cichego akompanjamentu starców buków i dębów, szumiących, szeleszczących i owadów brzęczących, syczących, roztaczały i snuły główny motyw śpiewacy leśni—ptaszyny leśne.

Jak miłe jest przyłączyć się do takiego chóru, wczuć się weń, przestać być sobą, a zamienić się bodaj na chwilę w ptaszka małego, szarego z podgardlem kolorowem i z innemi małemi istotkami wielbić Stwórcę!!— — —

Staś szedł z kolegami, lecz zapomniał gdzie idzie i poco. Przemienił się w jednego z małych śpiewaków i bujał wysoko, wysoko. A coś mu grało dokoła...

* *
*

Przerwano mu pieśń. —Dz—z—z—z— zagwizdało mu koło uszu i echo strzału rozległo się po lesie. Rzucili się w bok. — Dz—z—z, dz—z—z—. Coraz gęściej padają strzały. Nie mógł

dalej uciekać, towarzyszów stracił z oczu.

— Wyjdę na drzewo—postanowił i z resztką sił wydrapał się na pobliski grab. Przytulił się do gałęzi i ani się poruszył.

— Dlaczego doń strzelano—myślał—przecież on nikomu nic złego nie zrobił, chce jeno wrócić do mat....

Przypomniał swój sen dzisiejszy, i tego syczącego gada. Mrowie go przeszło. Głosy się zbliżały. Przytulił się jeszcze mocniej do gałęzi, jak dziecko, gdy się w nocy budzi, do matki się tuli.

— Boże!—myślał—ocal mnie, nie gub!—Zobaczył trzech uzbrojonych i wyczytał z ich zwierzęcych fizjognomji, dlaczego go gonią. Poznał w nich owych gasicieli wielkiego pożaru rewolucji w Rosji, poznał tych, którzy zwierzęcym instynktem kierowani chwytali za nóżki niemowlęta i głowy trzaskali o mur, poznał tych, co śpiących mordowali, a żyjących na kawały darli. Zrozumiał, że to ci, których hasłem „Na paniw“ albo „Biej Żidow, spasaj Rosiju“. .

— Boże!—powtórzył,—odpuść mi moje winy, przebacz!—

I w myśli przed oczyma stanęła mu matula droga, co tak ręce wyciągała i przed czemś przestrzegała.

— Mabulo, ratuj! krzyczał w duszy, a oczyma śledził szubrawców, którzy mimo przechodzili, klnąc i wygrażając.

— Baczyw jaki czobotia maw i hfrencz, szob joho, wtik—rozmawiali między sobą.

Już mijają. Serce młotem mu wali, zalewa mu krwią oczy, krew wali w żyłach, uderza do głowy.... Drgnął.... Ptak zerwał się z krzykiem.... Zdradził go....

Obejrzeli się, spostrzegli i trzy rury skierowały się weń.

Nie ruszył się. Mocniej się jeszcze przytulił i wzrok wlepił w jedną z tych trzech bestyj.

Chciał coś krzyknąć—nie mógł.—Boż—e——

Jak zraniony ptak jęknął i spadł na murawę.

A echo huk strzału rozniosło po lesie...

Szakale ściągali zeń odzież.

*  *
*

Matka długo czekała na Stacha. Już nawałnica minęła. Z wojskiem polskiem wrócił spokój błogosławiony.

Matka czekała na syna, a na jego mogile konwalijki urosły i białe śnieżyczki kłoniły swe dzwonki niziutko i śpiewały mu o słońcu, życiu, szczęściu i radości. Hela wypłakała swe oczy modre za Stasiem, a jego duszyczka, jak konwalijki kwiat, szczęśliwa, jaśniała na niebie i w nocy nieraz na skrzydełkach cherubina czuwała nad zbolałem serduszkiem.

Krzemieniec, 3—II—1929 r.

---

Danilczuk Włodzimierz.

## Z ZAGADNIEŃ REGJONALIZMU.

Zagadnieniom regjonalizmu w obecnych czasach poświęca się nadzwyczaj dużo miejsca we wszystkich pismach naukowych i wielu uczonych polskich hołduje regjonalizmowi, bądź stosując go w praktyce, bądź też teorytycznie podkreślając jego walory, W zarodku swym sięga regjonalizm końca ubiegłego i początku obecnego stulecia, a w Polsce może poraz pierwszy występuje u Stanisława Witkiewicza, którego dzieła po dziś dzień służą za podstawę w opracowywaniu programu pracy regjonalnej, zwłaszcza jeżeli chodzi o stosowanie regjonalizmu w nauczaniu i wychowaniu. Regjonalizm polski, powstał na tle ruchu krajoznawczego, prowadzonego przeważnie przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i inne organizacje naukowo- oświatowe, jak Polskie Towarzystwo-Tatrzańskie i niektóre organizacje prowincjonalne.

Jego początek widzimy w stosowanej po dziś dzień metodzie krajoznawczej, metodzie poznawania ojczyzny przez poznawanie jej poszczególnych krain, a przedewszystkiem przez szczegółowe zaznajomienie się z najbliższą okolicą.

Do szybkiego rozwoju tego prądu przyczynia się wzmożona praca obywateli—społeczników, czy też pewnych organizacyj w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości państwowej. Jednostki te względnie ich grupy, niewątpliwie o szerszych sferach zainteresowania i idealistyczno—romantycznych poglądach, ożywione chęcią przyczynienia się do jaknajrychlejszego odbudowania ojczyzny, nie zadawalają się już swą pierwotną pracą krajoznawczą, lecz do grupy swych zainteresowań krajoznawczych dodają szereg innych, a przedewszystkiem gospodarczych, społecznych, samorządowych, kulturalno-oświatowych, pedagogiczno-szkolnych i t. p.

Siłą rzeczy, prąd ten, będący według takiego pojmowania, zlepkiem wszystkiego, a w rzeczywistości niczem (bo rzadko w praktyce stosowano go we wszystkich wymienionych dziedzinach) stawał się fantazją, a niekiedy nawet był szkodliwy. Organizacje regjonalne, działające według takiego planu, musiałyby się stać nadzwyczaj potężnemi, a zakres ich działania pokrywałby się z zakresem działania czynników rządowych, mimo to, że nie posiadałyby one do tego ani przygotowania, ani żadnych środków i egzekutyw, a co najważniejsze, nie miały nawet jasno sformułowanego i definitywnie ustalonego planu pracy.

Pierwotni ci teoretycy regjonalizmu, szerzyli swe poglądy pod hasłem zniesienia upośledzenia, jakie oczuwały prowincje zwłaszcza kresowe, a w związku z tem i pod hasłem podniesienia życia kulturalnego, potrzeb gospodarczych, politycznych, a wreszcie zniesienia zbyt daleko idącego podporządkowania interesów prowincyj interesom stolicy, czy też innych większych ośrodków życia państwowego, lub kulturalno—gospodarczego. Chciano złagodzić, zwłaszcza na kresach, separatyzmy polityczne, a wreszcie doprowadzić do całkowitego zlania się prowincyj w jedność państwową przez obudzenie w poszczególnych dzielnicach samodzielnego ruchu naukowo-kulturalnego, samodzielnej

działalności gospodarczej, społecznej i politycznej. Myśli te niewątpliwie dobre nie dadzą się jednak w praktyce zastosować, a stosowane z najlepszem powodzeniem dawały wyniki ujemne.

Życie przekreślało założenia. Cały szereg organizacyj regjonalnych stosując się do powszechności myśli, zawartych w programach pracy, dzielił się na wydziały, te wyłaniały sekcje, których liczba dochodziła do 16, ale które rzadko coś robiły.

Na pierwszy rzut oka zda się, że hasła regjonalne polityczno-społeczne mają swe uzasadnienie, jednakże w ich programach czytamy, że „regjonalizm dąży do takiego stopnia ukształtowania administracyjnego państwa, któreby zapewniało rozwój należyty indywidualnym wartościom gospodarczym i kulturalnym poszczególnych regjonów." Zważmy, że między innemi, ostatecznym celem jest dążenie do centralizacji i połączenie separastycznych dzielnic w jedność, gdy tymczasem ten postulat regjonalizmu wyraźnie polityczny, w swych skutkach doprowadzić może do decentralizacji. Pozatem zdarza się często, że pewne organizacje regjonalne podejmują prace, prowadzone już od dłuższego czasu przez specjalne ku temu celowi powołane organizacje. mające już za sobą przeszłość i bogate zasoby środków, co powoduje niepotrzebną utratę sił. W obecnej chwili niesprecyzowane pojęcie regjonalizmu zaczyna się pomału krystalizować.

Czem w swej istocie jest dobrze pojmowany regjonalizm, trafnie określa przytoczony urywek jednej z odezw regjonalnych. Regjonalizmem według niej jest dążenie do poznania, a przez poznanie do umiłowania swego najmilszego zakątka ziemi a przez ten zakątek do umiłowania i poznania całości własnej ojczyzny. Jest on zarazem chęcią zachowania lokalnych, indywidualnych cech.

Regjonalizm pragnie poznać dzieje swej najbliższej okolicy, by poznać jaką rolę ona spełnia w życiu narodu, w przeszłości. Regjonalizm pragnie poznać bogactwa w warsztaty wielkiej pracy, by zrozumieć rolę własnej dzielnicy w budowie całości.

Widzimy więc, że jest to może nie tyle jakiś nowy prąd, ile metoda naszego ustosunkowania się do otoczenia, do środowiska.

Taki regjonalizm istnieje już od dawna i u nas w Polsce. Widzimy go przedewszystkiem w szkolnictwie polskiem, a zwłaszcza w programach nauczania geografji, historji, przyrody i języka ojczystego w szkołach powszechnych.

Dążąc do wychowania prawdziwego obywatela, polska szkoła musi wytworzyć spójnię ucznia z jego okolicą, a przez to i z całością państwa.

Taka myśl przewodnia cechuje już dzisiejsze programy nauczania, a przy ich koregowaniu niewątpliwie wystąpi w jeszcze lepszem oświetleniu. Pozatem Towarzystwo Krajoznawcze, którego niektóre oddziały prócz pracy popularyzacyjno oświatowej, podejmują prace naukowe, polegające na gromadzeniu materjałów do poznania jednostek terytorjalnych, na których rozwija się ich działalność. Podobne wytyczne winne kierować pracami Kół Krajoznawczych Młodzieży i niewątpliwie w wielu z nich zostały uwzględnione w układaniu programu pracy. Z innych organizacyj wymienić należy Pol. Tow. Tatrzańskie, T-wo Naukowe Płockie i inne.

Ważną rolę odgrywają zakładane wszędzie Muzea Regjonalne,ześrodkowujące wyniki prac różnych nieraz organizacyj, gromadzące okazy z różnych dziedzin życia danego środowiska, jakoteż okazy z fizjografji okolicy. Zadaniem Muzeów Regjonalnych jest pośredniczenie między nauką i społeczeństwem.

Mają one „popularyzować naukę, propagować jej główną ideę, oraz rozpowszechniać wiadomości o jej stanie i potrzebach". Nie będzie to więc zbiór najrozmaitszych martwych przedmiotów godnych znajdowania się w muzeum, lecz żywe ognisko pracy naukowej oraz popularyzacyjnej, które przez odczyty publiczne, często organizowane wystawy i pokazy, oraz przez umożliwienie szerszym warstwom społeczeństwa zwiedzanie pracowni naukowych, będzie oddziaływać na otoczenie, aby nauce byt w społeczeństwie zapewnić.

W książce p. t. „Muzea regjonalne ich cele i zadania" (praca zbiorowa) czytamy, że muzea mają „szerzyć zrozumienie znaczenia i wartość poswięcania się dla idei zdobywania prawd naukowych, bez względu na korzyści materjalne; udostępnić jak najszerszym masom zdobycze nauki, a przedewszystkiem te, które posiadać mogą wpływ bezpośredni na poprawę warunków bytu zarówno materjalnego jak i moralnego; rozpowszechniać wiadomości o badaniach naukowych wykonywanych współcześnie i o istniejących warsztatach pracy naukowej—oraz —ogłaszać jakie materjały naukowe są dziś zagrożone,—jak je wyszukiwać i chronić".

Najnowszym wyrazem żywotności regjonalizmu jest okólnik p. ministra Sławoj—Składkowskiego „w sprawie studjów nad stosunkami województw jako jednostek regjonalnych i wojewodzkich programów działania".

Bodania nad stosunkami województw prowadzone są przez dokładne zbadanie i poznanie powiatów a nawet i gmin. Celem ich według programu M. S. Wewn. są: „poznanie terenu, na który rozciąga się działalność danej jednostki administracyjnej, oraz wysunięcie charakterystycznych problemów i zagadnień; a mianowicie 1) regulacja granic województwa i powiatów, z punktu widzenia naturalnych regjonów; 2) podniesienie ogólnych warunków kulturalnych i gospodarczych; 3) skierowanie na właściwe tory i wzmożenie wytwórczości; 4) stworzenie nowych placówek przenikania kultury; 5) koordynacja aparatu działania (urzędów państwowych, samorządów i instytucyj społecznych) 6) pożądane i możliwe ukształtowanie stosunków politycznych".

Okólnik ten powitano wszędzie z dużem uznaniem i należy się spodziewać, że nada on charakter i kierunek wszystkim organizacjom naukowym, interesującym się tą dziedzina życia.

---

M. Tkaczuk.

## ZJAZD BYŁYCH WYCHOWANKÓW LICEUM KRZEMIENIECKIEGO.

Nic tak może nie zbliża i nie przywiązuje do siebie ludzi jak ława szkolna. Jeszcze nie zdążą upłynąć miesiące wakacyjne,

a już w sercu budzi się tęsknota i pragnienie ujrzenia murów szkolnych, świadków doli i niedoli uczniowskiej, świadków zawiązywania się serdecznych węzłów koleżeństwa.

Ci, którzy już ukończyli zakład średni i są na wyższych studjach, lub na stanowiskach samodzielnych, również pragną od czasu do czasu znaleść się w dawnej atmosferze, uścisnąć dłoń swych dawnych profesorów i kolegów i podzielić się z nimi swemi myślami i uczuciami. Wszystkie pomaturalne postanowienia zjazdów w murach rodzimej szkoły mają właśnie na celu utrzymanie przyjaźni zadzierżgniętej na ławie szkolnej, wymianę myśli i doświadczeń, pogłębienie wspólnej ideologji i zachowanie łączności w pracy społecznej.

Ostatnia matura Seminarjum Nauczycielskiego Liceum, ustalając zjazd w następnym roku szkolnym miała też cel praktyczny, ze względu na pracę oświatową na wsi i zdobyte w tym kierunku doświadczenie.

Koło Akademickie Krzemieńczan w Warszawie również postanowiło urządzić zjazd w Krzemieńcu wszystkich akademików, byłych wychowanków Liceum. Zarząd Liceum odniósł się do tej myśli bardzo przychylnie, udzielając gościny zjazdowiczom od 29 XII—28 r.—3/I—29 r. Zjazd przybrał więc znaczenie ogólne, obejmując wszystkie roczniki byłych wychowanków Liceum, Seminarjum i Gimnazjum.

Pierwsze zebranie miało charakter powitalny. Poprzybywali studenci ze wszystkich wyższych uczelni polskich i z gdańskiej politechniki, jak również i nauczyciele szkół powszechnych z różnych zakątków kraju. Wrażeń było coniemiara. Rozmowy i opowiadania trwały do godziny 12-tej w nocy i jeszcze nie zdołano o wszystkiem się wypytać i ze swej strony opowiedzieć. Następnego dnia rozpoczęły się obrady zjazdu w obecności zaproszonego Zarządu Liceum. Na prośbę akademików Kierownik Pedagogiczny Liceum p. Dobrowolski dał sprawozdanie z prac, wykonanych przez Liceum w ostatnich czasach w celu podniesienia jego strony ekonomicznej, materjalnej i naukowej. Następnie akademicy z różnych uczelni informowali o życiu uniwersyteckiem, o pracy i działalności społecznej. Wychowankowie,

będący w czynnej pracy nauczycielskiej na wsi, podnosili kwestje szkolnictwa powszechnego, jego braki i środki zapobiegawcze. Koło Kresowe Akademickie (Uniwersytet Krakowska) wyraziło chęć przyjścia z pomocą szkolnictwu ludowemu ofiarowując książki do bibljotek szkolnych na Kresach.

W ten sposób na tle zrozumienia się wzajemnego zostały zaciśnięte węzły przyjaźni uzasadnionej czynnie, pomiędzy byłymi wychowankami Gimnazjum a Seminarjum.

Dla wychowanków Seminarjum Zarząd Liceum postanowił zorganizować corocznie w okresie wakacyjnym kursy pedagogiczne. Pod koniec obrad postanowiono wysłać do odnowiciela Liceum Krzemienieckiego Marszałka Piłsudskiego, depeszę hołdowniczą z wyrazami synowskiej czci i przywiązania. Depesze podobne zostały wysłane również do p. Prezydenta Rzeczypospolitej i do p. Ministra Oświaty. W zjeździe wzięło udział również i jedno małżeństwo akademickie, które w przeddzień zjazdu zawarło śluby przed Ołtarzem Pańskim i swoją podróż poślubną skierowało do murów, w których się wychowało i w których zostały zawiązane pierwszę węzły głębokiej przyjaźni.

Pan Wizytator Dobrowolski z tego powodu wyraził życzenie, aby w przyszłych zjazdach licealnych brali udział nietylko synowie wychowanków licealnych, ale i ich wnukowie, co cały zjazd przyrzekł solennie jak najprędzej wypełnić.

Po południu akademicy i nauczyciele urządzili zebrania informacyjne dla swych młodszych kolegów, maturzystów Gimnazjum i Seminarjum, zaznajamiając jednych z życiem Akademickiem, drugich z pierwszemi trudnościami w pracy nauczycielskiej i z działalnością na wsi.

Wieczorem nauczyciele i urzędnicy licealni urządzili dla zjazdowiczów wspaniały bal sylwestrowy.

W następnym dniu odbył się w Krzemieńcu „Dzień Akademika", mający na celu propagandę samowystarczalności. Akademicy poprzebierani, utworzyli hałaśliwy pochód z transparentami w powozach i autach. Humor Akademicki powyciągał z domów wszystkich mieszkańców Krzemieńca.

Obrady zjazdu dały obraz szeroko zakrojonej współpracy oświatowo—społecznej i łączności byłych wychowanków Liceum ze swą uczelnią i wyryły w umyśle i sercu każdego uczestnika niezatarte wrażenie.

Wtajemniczony.

## JAKĄ ROLĘ w ŻYCIU LUDZKIEM MOŻE ODEGRAĆ CZERWONE KÓŁKO.

Znalazłem się pewnego wieczoru na kurytarzu internatu męskiego. Chciałem pożyczyć książki od jednego z kolegów. Wiedziony złośliwą koleżeńską ciekawością, podszedłem do gablotki, w której jak wiadomo, oznacza się czerwonemi kółkami przewinienia poszczególnych ognisk.

Nim jednak zdążyłem zobaczyć, które ognisko „odznaczyło" się świeżo, nagle drzwi od sali ogniska im. Jana Chryzostoma Paska otwarły się z trzaskiem. Wypadł z nich kolega Bonuś, zmieniony do niepoznania i przebiegłszy wzdłuż całego kurytarza, zawrócił nagle i z najwyższego rozpędu wyrżnął głową w ścianę swojej salki.

Tylko grubości murów licealnych można zawdzięczyć, że ściana się nie rozwaliła, ale i taran t. j. głowa mojego kolegi musiała być niezwykle twarda, że nie roztrzaskała się na kawałki. Natomiast on sam legł na ziemi, ze wszystkiemi odznakami nieboszczyka. Nim zdążyłem narobić krzyku, z salki, którą tak szturmowano, wywaliła się gromada chłopaków i rzuciła się na poszkodowanego. Z macierzyńską troskliwością wnieśli go do pokoju, dźwigając po jednemu każdą rękę i nogę. Wsunąłem się i ja za nimi, aby się coś dowiedzieć o przyczynie wypadku. Kiedy nieboraka złożono na łóżku i obłożono kompresami, jeden z chłopców szeptem wtajemniczył mnie w szczegóły tragicznego zajścia.

— Masz przed sobą ofiarę czerwonych kółek, Bonuś, który

jak wiesz, jest ogromnie porządny i solidny, cierpiał zawsze bardzo, widząc w naszej kratce hańbiący czerwony znak. Przyznał mi się raz w sekrecie, że od dłuższego czasu miewa w nocy halucynacje: pod zamkniętemi powiekami zjawiają mu się czerwone plamki, które następnie rosną aż do sufitu i zapełniają sobą cały pokój. Ta manja prześladawcza doprowadziła go do tego, że ustawicznie zatruwał nam życie morałami. Postanowiliśmy dla świętego spokoju zrobić go ogniskowym. Wówczas wygłosił exposé, w którem poprzysiągł się nam na imię Patrona Ogniska, że odtąd czerwonych kółek w naszej kratce nie będzie. Rozpoczął swoje rządy od porządkowania salki, co zajęło nam całą dobę.

Z drżeniem oczekiwaliśmy następnego dnia. Po lekcjach wezwano nas do kancelarji internatu. Weszliśmy z dobremi minami i pierwsza rzecz, która uderzyła nasze oczy, to był stos brudnej bielizny pod ścianą. Rozpoznaliśmy odrazu swoje prześcieradła i poszewki. Daremnie przysięgaliśmy się, że to wszystko jest czyste, odrzucono naszą propozycję, aby bieliznę poddać analizie chemicznej,—w kratce naszej znalazło się czerwone kółko.

Po powrocie do salki Bonuś zmaltretował nas okropnie. Musieliśmy mu złożyć ślubowanie, iż odtąd będziemy zmieniać bieliznę pościelową co 2 dni.

Nazajutrz z lekkim już tylko niepokojem oczekiwaliśmy wizytacji ogniska. Na wszystkich łóżkach były świeże poszewki i prześcieradła. Gdy wreszcie po dość długiem oczekiwaniu ujrzeliśmy wychowawcę, doznaliśmy jakby nagłego paraliżu: w ręku jego ujrzeliśmy pudełko od tutek papierosowych. Okazało się, że znaleziono je w stoliku Rocha. Ten ostatni zaklinał się wprawdzie, że pudełko to otrzymał od stryja przed wyjazdem do szkoły na krawaty i spinki—tem niemniej przecież w kratce naszej znalazło się czerwone kółko.

Bonuś obił winowajcę, a następnie zrobił najściślejszą rewizję naszych łóżek, rzeczy i nawet osób, aby sprawdzić czy nie znajdzie gdzie śladów dystrybucji. Znalazło się pudełko zapałek, które też mimo perswazji i przedstawień zostało przeznaczone

na spalenie. Odbyło się to z pewną uroczystością. Bonuś, zebrawszy nas wokoło pieca osobiście własną ręką dokonał wrzucenia pudełka do ognia. Ciężar spadł nam z piersi.

Na drugi dzień zaraz po obiedzie odwiedził nas wychowawca. Rozmawiając przyjaźnie ubolewał wraz z nami nad czerwonemi kółkami. Przy tej rozmowie wzrok jego padł na stos brudnych papierów, które mieliśmy zwyczaj rzucać w framugę pieca. Naturalnie rezultat był wiadomy—czerwone koło znów splamiło nasze ognisko.

Nad nami zawisło jak chmura gradowa milczenie Bonusia: nie odzywał się wcale do nas tego dnia, knuł jakieś dzikie, czy podstępne plany. Nazajutrz zorganizował nowe sprzątanie: wymietliśmy nietylko śmiecie z za pieca, ale nadto na rozkaz Bonusia ja wspiąłem się po ramionach kolegów na piec i zmiotłem najdokładniej kurz, który się tam magazynował od ostatniego bielenia.

Po obiedzie zgromadziliśmy się wszyscy w salce, oczekując z upragnieniem wizytacji. Sala była wywietrzona do niemożliwości, poduszki i prześcieradła na łóżkach olśniewały białością, same łóżka były prowakacyjnie gładko zasłane, a niedomknięte umyślnie szuflady stolików zdradzały jedynie tylko obecność idealnie poukładanych przyborów toaletowych.

Gdy do salki wkroczyła na odmianę P. Wychowawczyni patrzyliśmy jej w oczy z triumfem. Niedługo czekaliśmy na wynik wizytacji. Po kilku słowach przywitania, Pani podeszła nagle do stolika Bonusia i pochyliwszy się przejechała palcem po dolnym blacie. Struchleliśmy: dwucałowa warstwa kurzu wapiennego leżała na nim.

Po wyjściu P. Wychowawczyni, Bonuś nic nie mówiąc, wypadł na kurytarz, wywalił pięścią szybę gablotki i osobiście zrobił olbrzymią pieczęć czerwoną w naszej kratce (i sąsiednich). Następnie wpadł z powrotem do salki i tu dostał ataku ostrej furji. Pogniótł najprzód łóżka, następnie porwawszy na kawałki wszystkie książki (wypożyczone z pracowni), kajety, a nawet tematy daltońskie z obwolutą, wrzucił te wszystkie stszępy za piec; potem idealnie czystym ręcznikiem pościerał nieszczęsny

kurz ze wszystkich stolików i ostentacyjnie schował ręcznik pod poduszkę. Nareszcie zwróciwszy się do nas struchlałych, oznajmił nam, iż zamierza jeszcze dla większego nieporządku rozwalić ścianę. W tym zamiarze wypadł na kurytarz.

Resztę wiesz.—

Resztę widziałem........

— — — — — — — — — — — — — —

Bonuś żyje dotąd i chodzi do szkoły.

Zrzekł się swego stanowiska i jest dość spokojny. Tylko pewnego dnia, ujrzawszy na kurytarzu gimnazjalnym kolegę z czerwoną wizytówką w kieszonce, rzucił się na niego i począł go dusić. Z trudem biedaka obronili koledzy. Na szczęście nikt z profesorów nie widział tej sceny, a koledzy poprzysięgli milczenie, aby uchronić od „wylania“ nieszczęsną ofiarę czerwonych kółek.

(Zdaje się, że choroba Bonusia jest nieuleczalna).

## WESELE NA KURPIACH

(Wrażenia i uwagi widza).

Doniosłem wydarzeniem w naszem życiu licealnem było odtworzenie przez płocki teatr regjonalny wesela kurpiowskiego.

W naszym kresowym zakątku, zrzadka tylko mamy sposobność zobaczyć coś równie doskonałego na naszej skromnej scenie. Najlepszym wyrazem radości, jaką przeżyliśmy przez te kilka chwil, był odruch ze strony młodzieży: samorzutne podziękowanie władzom licealnym za sprawioną przyjemność (czego się u nas stale nie praktykuje). Miesiąc już upłynął przeszło od przedstawienia, a piosenki kurpiowskie stale rozbrzmiewają na kurytarzach szkół i internatów.

Dziwne to było widowisko. Nie zalecało się ono ciekawą akcją, zawikłaną intrygą,—akcji prawie nie było, bo trudno nią

nazwać krótkie konkury „Jonecka“ o rękę młodego „dziwcoka“.

Zato przedstawiony został z drobiazgową wiernością sam obrzęd wesela, poprzedzony zmówinami. Rzecz sama w sobie interesująca nasuwała niebezpieczeństwo znużenia widza monotonnością przeciągających się i powtarzających fragmentów obrzędowych i śpiewów. I tutaj jest pierwsza zaleta widowiska: scenarjusz był opracowany tak zręcznie, iż przedstawiając wiernie i realistycznie ważne wydarzenie z życia ludu, równocześnie uniknął monotonności.

Drugą ogromną zaletą widowiska było to właśnie wierne przedstawienie obrzędu ludowego. My, kresowiacy, mieliśmy możność poznać i sam tak bardzo charakterystyczny obrzęd wesela, i zarazem owych braci naszych Kurpiów, którzy wespół z nami zamieszkują naszą ojczystą ziemię, a których dotąd znaliśmy chyba tylko z książek. A poznalismy ten lud jakby prawdziwy, właśnie dzięki temu wiernemu odtworzeniu go przez artystów (czy amatorów, którzy stali się artystami). Opracowali oni wzięty temat z nadzwyczajną sumiennością: stroje, pieśni, obrzędy, mowa (prawdziwa, nie konwencjonalna gwara kurpiowska),—wszystko to było wystudjowane i oddane najwierniej. A typy? panna młoda „dziewczę z buzią jak malina“, krzykliwe a mimo to pełne uroku niewinności i naiwności; dziarski pan młody, (zlekka czuć było w nim aktora); jowialny a dostojny swat, któremu może pasowałaby i delja magnata, a który z gestem wielkopańskim, a mimo to bez perwenjuszowskiej pychy rzuca największą kwotę na czepek pannie młodej.

A obie matki: jedna poważna, powściągliwa, szanująca się, druga z trudem panująca nad swoim temperamentem (ku wiecznemu utrapieniu małżonka), obie dorodne i „miniaste“.

Z innych mężczyzn poza swatem doskonały był jowialny dziadek, dobry zupełnie ojciec młodego, wreszcie ów Teoś, solista wiejski ze swoim specyficznym tenorkiem. Ale co tu wyliczać, trzebaby wszystkich wyliczyć, bo wszyscy razem stanowili doskonale zgrany zespół. Objęci ramami sceny, tworzyli barwne obrazy (choć niema w kurpiach bajecznej kolorowości łowiczan).

Muzyka przy całej prymitywności i naiwności, szlachetna była i wdzęczna, a pieśni to poważne, to skoczne i wesołe— proste a pełne harmonji.

Całość nawskroś realistycznie potraktowana (jak zresztą przystało na taki temat) nie miała jednak momentów dosadnych i ordynarnych,—i tu widać fakt zarówno autora scenarjusza, jak i reżysera.

W końcu podkreślić należy grę, która wykazała doskonałe opanowanie ról przez artystów (grali naturalnie bez suflera), wreszcie sprężystość organizacji: w pół godziny po przyjeździe zespołu rozpoczęto przedstawienie. Oczywiście ta doskonałość techniki tłumaczy się głównie ogromną ilością występów, które wyćwiczyły tak grono. Członkowie kółka żywego słowa mieli w tem widowisku pierwszorzędny objekt do analizy i wzór do naśladowania, a nadto naukę, że warto sięgać do rodzimej, ludowej twórczości.

## KRONIKA

1. Z początkiem roku szkolnego 1928/29 do życia młodzieży Liceum zostały wprowadzone zbiórki ranne, odbywające się trzy razy w tygodniu: w poniedziałki, środy i piątki w godz. $7^{50}$—$8^{15}$ rano.

Czas tych zbiórek poświęca się na omawiane spraw z zakresu życia szkoły, na podawanie wiadomości ze świata oraz na omawianie rzeczy bieżących. Przed przystąpieniem do porządku dziennego zbiórki, wszyscy zgromadzeni odśpiewują pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“.

2. WYSTAWA OBRAZÓW GROTTGERA.

Dnia 16. I. r. b. przez władze szkolne została urządzona wystawa obrazów Grottgera w sali Kolumnowej Liceum, którą zwiedziły wszystkie klasy Gimnazjum i kursy Seminarjum pod przewodnictwem p. prof. Galimskiego. Przed zwiedzeniem wystawy p. prof. Galimski na zbiórce rannej przedstawił w krótkiej

mowie życie i twórczość Grottgera.

3. POGRZEB Ś. P. D-ra MAJEWSKIEGO.

W dniu 16. I. r. b. zmarł ś. p. D-r Majewski, a 19 I. odbył się pogrzeb Jego zwłok. W żałobnem nabożeństwie i pogrzebie wzięli udział: lekarze krzemienieccy, pp. profesorowie, urzędnicy Liceum i uczniowie wszystkich zakładów licealnych. W kondukcie pogrzebowym przygrywała orkiestra uczniowska.

Maturzyści szkół licealnych na swych barkach zanieśli zwłoki ukochanego Doktora z kościoła licealnego na miejsce wiecznego spoczynku.

Na cmentarzu nad trumną przemawiali: Ks. kan. Szafrański, p. wizytator Poniatowski, dr. Łodzinski, p. prof. Gaché w imieniu grona nauczycielskiego i kol. Skrócinski w imieniu młodzieży, którą ś. p. D-r Majewski tak kochał i z którą pracował od pierwszych dni istnienia wskrzeszonego Liceum.

4. WYSTAWA FOTOGRAFJI ARTYSTYCZNEJ na WOŁYNIU.

Staraniem Liceum Krzemienieckiego została urządzona w Krzemieńcu ogólno—polska Wystawa Fotografji Artystycznej.

Wystawa została otwarta 20. I. i trwała do 28. I. Potem została przeniesiona do Równego i Łucka. Na zaproszenia Komitetu Wystawy około 70 artystów—fotografów przysłało przeszło 400 prac.

Dwie prace, uznane przez specjalną komisję, składającą się z artystów—fotografów i artystów—malarzy za najlepsze, zostały przez Liceum Krzem. nagrodzone kwotami: 300 zł. p. (1-sza nagroda) i 150 zł. p. (2-ga nagroda). Najlepsza praca artysty z Wołynia została nagrodzona 150 złotemi.

Była to praca Pracowni Fotogr. Uczniów Liceum Krzem. p. t. „Mglisty wieczór".

5. WESELE NA KURPIACH.

W dniach: 26. I. i 27. I. w sali Teatralnej Liceum trzykrotnie zostało odegrane „Wesele na Kurpiach" przez zespół regjonalny z Płocka pod dyrekcją F. Skarzyńskiego.

Dzięki swej realności, bezpośredniości i oryginalności „Wesele na Kurpiach" wzbudziło zachwyt i uznanie wśród audytorjum.

6. PRZYGOTOWANIA DO WYSTAWY POZNAŃSKIEJ.

W dniu 27. I. w związku z Powszechną Wystawą Krajową, mającą się odbyć w Poznaniu, została otwarta w sali gimnastycznej Liceum wystawa eksponatów, przygotowanych na wystawę do Poznania.

Wystawę zwiedzili: p. wizytatorka Michałowska i p. wizytator i orzekli, iż poza małemi wyjątkami wszystkie eksponaty mogą być wysłane na Powsz. Wystawę Krajową do Poznania.

7. POŻAR W LICEUM.

Dnia 1. II. o godz. 3 w nocy zapalił się magazyn zbożowy w Liceum.

Mimo energicznej obrony strażaków i młodzieży z Internatu, tylko mała część magazynu została obroniona.

Pożar wybuchł wskutek wadliwej konstrukcji pieca. Straty, wyrządzone przez pożar, wynoszą 104000 zł. p.

8. KOMISJA WYCIECZKOWA.

W celu zorganizowania wycieczki do Poznania i w celu obmyślenia sposobów do zdobywania środków materjalnych, potrzebnych na wycieczkę, w połowie lutego została zorganizowana Komisja Wycieczkowa, składająca się z wychowawców poszczególnych klas i z delegatów tychże klas w liczbie po dwóch z każdej klasy. Komisja ta miała już trzy posiedzenia, na których zostały omówione podstawowe sprawy, dotyczące organizacji samej wycieczki i imprez, mających dostarczyć środków materjalnych.

9. Kurs V. Seminarjum Nauczycielskiego, mając na celu szerzenie kultury i oświaty wśród ludu, począwszy od 2. III. r. b. urządza szereg wieczorów we wsiach okolicznych.

Wieczory te będą się składały: z części naukowej (odczyty z dziedziny wiadomości o Polsce współczesnej, oraz z dziedziny geografji i krajoznawstwa) i części ~~muzyczno~~-rozrywkowej (chór, gry towarzyskie).

Pierwszy wieczór odbędzie się w Bereźcach w dniu 2. III r. b. gdzie obecnie odbywa się kurs rolniczy dla członków Kół Młodzieży Wiejskiej.

CENA ZESZYTU 80 gr
DLA MŁODZIEŻY CE[illegible]TU 50 gr.

Adres administracji: Koło Kraj[illegible] D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieck[illegible]

Wydawca: Koło Krajoznawcze[illegible]ssera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego pozost[illegible] ofesora Fr. Mączaka.

Redaguje komitet w następującym skła[illegible] A. Steciuk, J. Dikszteјn, M. Tkaczuk, B. Gumuła, B. Poniatowska, M. Sołtykiewiczówna, W. Bliźniukiewicz, E. Mielnikówna oraz p.p. prof. A. Ruskowa, Fr. Mączak, J. Trzcieniecki.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ DANILCZUK.

**Krzemieniec,**
**DRUKARNIA „SŁAWA“**
**Szeroka № 76.**